

# Kryształna Mazurówna

Burzliwe życie tancerki





# Zaczeło się niespecjalnie...

Plakałam.

Plakałam jak nigdy dotąd. Całym moim ciałem wstrząsały jakieś rytmiczne dreszcze czy konwulsje, łyzy rozmazywane pięściami zmoczyły mi całą twarz, powstrzymywałam szloch, żeby nie narazić się na denerwujące indagacje otoczenia i ewentualną interwencję. Tuliliam się do niego. Nos, czerwony i ciekący, rozgniatał się na nim, moje szeroko otwarte ramiona obejmowały go czule i kurczowo ścisnęły. Przywierałam do niego – zimnego, obojętnego – całym ciałem, w beznadziejnym odruchu rozpaczy.

Rozstanie.

Definitywne rozstanie.

Każde definitywne rozstanie jest bolesne, ale to dziś było w dodatku zupełnie nie do przewidzenia – jakoś nie zadawałam sobie tego pytania, nigdy nie zdałam sobie sprawy, że przecież nie może ta cudowna dla mnie sytuacja trwać bez końca, wydawało mi się, że będziemy razem może na zawsze, a przynajmniej że będę go miała jeszcze długo.

A tu – ostatni wieczór razem...

Plakałam tak długo i tak boleśnie, że w końcu zasnęłam, wciąż obejmując go mocno i tuląc do piersi.

– Krzysia! Krzysiunia! – słyszałam przez sen. – Gdzie to dziecko się podziało, jak kamień w wodę, przecież musi być w domu?

Mama weszła do salonu, pstryknął kontakt i zapaliła się lampa. Moje oczy, jeszcze pełne łez, gwałtownie zaatakowało ostre światło. Mrugając, powoli zlazłam z mego błękitnego spacerowego wózek, wiedząc, że był to nasz ostatni kontakt.

Tak, bo właśnie tego popołudnia usłyszałam:

– Krysia, już jesteś duża, nie musisz mieć wózka, sprzedaję go, sąsiadka z góry chce spacerówkę dla synka. Idź, pożegnaj się z nim...

Ach, jak bolesne było to pożegnanie, ile łez mnie kosztowało...

Chyba żadne potem rozstanie mnie tak nie zraniło. A przecież zdarzały się już i inne groźne momenty w moim niezbyt długim życiu – gdy na przykład nagle rozlegało się wycie alarmu i rodzice zaczęli nerwowo się śpieszyć, biegać po domu, zbierać gorączkowo jakieś rzeczy, a to pierzynę, a to garnki, a to znowu – raczej tata – jakieś książki i papiery, by potem szybko, szybciotko zbiec do piwnicy. Z czwartego piętra, kwadratową klatką schodową pod szklanym dachem. W tej krzątaninie








moje miejsce wypadło na samym końcu, dopiero po przygotowaniu całej reszty ojciec porywał mnie na ręce i wtedy pędem, poganiani przez jazgotliwie ujadające pieski, chroniliśmy się w piwnicy. Bardzo się wtedy bałam, nie nalotu, bo nie rozumiałam, co to takiego, ale tej atmosfery niepokoju i zagrożenia, którą świetnie wyczuwałam. Przy pierwszych nalotach wojennych we Lwowie nie umiałam jeszcze mówić ani chodzić, ale udawało mi się już wspinać na nóżki, więc trzymając się siatki swego łóžeczka, bujałam się energicznie i wydawałam z siebie coś w rodzaju psiego skowytu, w czym zresztą sekundowały mi dzielnie cztery ratlerki, ulubieńcy mamy. Bałam się, że zostanę zapomniana? Że rodzice w ogniu przygotowań zostawią mnie samą na górze? Skomlałam tak boleśnie, aż wreszcie któregoś z nich porywało mnie na ręce i znosiło, rzucając zaraz potem na wspólny, wielki barłóg w piwnicy. Alarmy takie i naloty zdarzały się tak często, o najróżniejszych porach dnia i nocy, że stawały się aż nużące. Nic dziwnego, że któregoś razu mama, wyrwana ze snu, odmówiła ojcu zejścia do schronu. – Eee, tyle razy już schodziliśmy i nigdy się nic nie działo, zaraz może i tak ten alarm odwołają, ja tu poczekam. Dobrze, jak chcesz, to idź, chcesz, to bierz dzieci, ja z psami tu zostaję. Wiem, wiem, że dom naprzeciwko zburzyła bomba, no to co, naszego nie. Schowam się za piec kaflowy, o, tu, nawet mnie z okna nie widać!

Ojciec próbował ją przekonywać argumentami logicznymi, ale nie dała za wygraną. Stałam całym sercem i rozumkiem po stronie taty, ale nie mogłam jeszcze swego stanowiska przekazać werbalnie – byłam na etapie „mama”, „tata”, „daj” i „nie”. Na szczęście tym razem alarm parę minut później odwołała syrena o innym, spokojniejszym brzmieniu. W piwnicy był urządzony nasz drugi dom. Piecyk do podgrzewania posiłków, zapas ubrań na zmianę, wielka miednica z zimną wodą, po którą biegano się do kranu na podwórko. W przegródce obok mieszkali sąsiedzi. Dalej jeszcze inni z czeredą dzieciaków; takich piwnicznych komórek było zresztą wiele, tyle ile mieszkań. Czasami siedziało się tam kilka minut, ale czasami i parę dni. Powoli uczyłam się chodzić, powiększałam swój zasób słów, rozumiałam coraz więcej.

Tu dopadały mnie pierwsze problemy. Jak dorośli to robią, że trzymając przed sobą jakiś duży kawałek papieru, mówią, czego się dowiedzieli? To nazywa się czytanie? Jak oni to czytają, czym? Też bym tak chciała! Obserwowałam baczenie naszego sąsiada. Rozpościerał płachtę gazety, wodził chwilę po niej oczami i zawiadamiał:

– Będzie jeszcze gorzej, ruskie idą. Przed Niemcami trzeba się chować, wybijają całą inteligencję, ale ci to dopiero zrobią nam wodę z mózgu! Woda – rozumiem. Tata wyjaśnił mi, co to jest mózg. Ale reszta? Może gdybym sama przeczytała, zrozumiałabym lepiej?

Podpatrzyłam, że tata też porusza gałkami ocznymi na boki, studiując swoje książki matematyczne. Inna sąsiadka także, ta co to z drutami i wół-



na w ręku czytała pismo, w którym tłumaczono, jak robić sweterki.

Też bym tak chciała! Postanowiłam, że będę czytać. To sprawa oczu!

Rozpostarłam gazetę i zaczęłam powoli przemieszczać oczka z lewej do prawej, linijka po linijce.

Myślałam, że jeśli wykonam to odpowiednio stanowczo, dostatecznie długo, to wreszcie tekst jakoś do mnie dotrze. Próbowałam zmieniać system, raz wolniej, raz szybciej. A może to sprawa oddechu? Czy nie trzeba go wstrzymać?

Obserwujący mnie przez kilka chwil sąsiad aż krzyknął:

– Stachu! Przecież to twoje dziecko czyta, dobrze widzę! – zadziwił się.

– Ile ona ma? Trzy latka? No to jak to możliwe?

– Co tam wyprawiasz? Chcesz dostać? – Mama zazwyczaj reagowała jednakowo.

– Czekał, Bronka – wtrącił się ojciec. – Jak to, Kryseczka, czytasz? Przecież to niemożliwe, no, powiedz, co tam wyczytałaś?

Żeby ratować honor i nie dostać ścierką, zastosowałam swoją ulubioną metodę. Skłamałam:

– Pewnie, że umiem czytać! Przeczytałam właśnie o robieniu wody z mózgu...

Bojąc się, że moje kłamstwo może wyjść na jaw, zaczęłam naprawdę uczyć się czytać. Byłam chudą, bladą i słabiutką dziewczynką, często chorowałam i większość czasu spędzałam w łóżku. Leżąc tak i się nudząc, oglądałam sobie książeczki i intrygowały mnie znajdujące się w nich małe czarne znaczki.

– Mama, co to jest, takie okrągłe?

– Jak to co?! Literka „o”! – odpowiedziała mama i wróciła do lepienia pierogów.

– Stefa! – zaczęłam naszą nianię. – Jak się nazywa taka pałeczka z kropką na głowie?

– To nie pałeczka, dziecko, to jest „i”, a duże drukowane „i” jest wyższe i nie ma tej kropki. A może utrzyć ci jabłuszko?

Nie chciałam jabłuszka. Byłam żądna wiedzy.

– Baśka! – krzyknęłam do przechodzącej obok starszej siostry. – Jak się nazywa takie coś, co ma trzy garbki, raz w górę, a raz w dół?

– Co ty wygadujesz, Krzyśka? To są litery, każdy głupi wie. Takie trzy łaski razem to „em” a jak się odwróca w dół, to „wu”. A musisz na mnie





mówić „Baśka”? Tata mnie woła Basiu, mogę być nawet Basiunią albo Basieńką. Jak nie przestaniesz, będę na ciebie mówić Krzyska-Piśka!

– Dobrze, Baśko-Sraśko – wyszeptalam cichutko, żeby nie narazić się na natychmiastowe konsekwencje, a jednak dać ujście tłumionej nienawiści. Baśka była przecież starsza o całe siedem lat i mogła mi wlepić... Wprawdzie ona twierdziła, że to tylko sześć, ale że każda z nas broniła jak lwica swego punktu widzenia, sprawa ta nigdy nie została definitywnie rozwiązana. Może prawda leżała gdzieś pośrodku? W każdym razie miałam się na baczności, wolałam z siostrą postępować delikatnie i ostrożnie, jak ze śmierdzącym jajkiem...

## Tajemniczy pokóik

Baśka była dla mnie wzorcem, z którym walczyłam. Jej bogata wyobraźnia fascynowała mnie.

– Wiesz, ja tak naprawdę nie mam tych krótkich, byle jak przez mamę obciętych szarych włosów, one są jasno-blond, do pasa. Noszę perukę. Moja prawdziwa twarz też jest pod maską, jestem śliczna, nie możesz sobie nawet wyobrazić. Jak to się dzieje? No, bo ja jestem królewną, mam władzę nad całym swoim królestwem słodczy. O, wchodzi się przez tajemniczy tunel, za tym obrazem, widzisz, to są właśnie zamaskowane drzwi. Klucz? Chowam go na rezerwuarze w ubikacji, ale ty nie możesz dosięgnąć, jesteś za mała... Zresztą nikt do mego królestwa nie wejdzie, chyba że mu pozwolę. Wszyscy tam mnie uwielbiają, zrobią bez wahania, co zechcę. Mówię ci, korytarz wejściowy jest cały z herbatniczków, pierwsza sala z czekolady, druga wyłożona biszkoptami, a trzecia, największa, zrobiona z takich różowych ciastek z kremem, które tata kupił nam w niedzielę, komórka z lodów, taras z chałwy... Oczywiście, można jeść, ile wlezie, to wszystko natychmiast odrasta. Chciałabyś choć raz tam ze mną pójść? Musiałabyś udowodnić, że masz bardzo silną wolę i łagodny charakter. O, już wiem – jeśli mi dasz sto ciastek, może być na raty, i się przez ten czas ze mną ani razu nie pokłócisz! Możemy zapisywać liczbę tych ciastek na serwetce i chować ją tu, pod nogą szafy mamy.

Byłam zachwycona. Ustępowałam jej, byłam do rany przyłoż, chociaż mój rogaty charakterek trudno było utrzymać w ryzach. Błagałam tatę codziennie o ciastka.

– Nie, nie dwa ani cztery, kup od razu dziesięć albo dwadzieścia. Wy z mamą też zjecie po jednym, a reszta dla dzieci, przecież kochasz swoje córeczki, prawda, Tupusiu?

Bardzo kochał córeczki, ale jednak dziwiło go moje hurtowe, a nagle upodobanie do słodczy. Co wieczór wracał jednak z białą paczuszką kołyszącą się apetycznie na sznureczku. Dzieliliśmy ciastka sprawiedliwie – po jednym dla mamy i taty, reszta na dwie równe porcje. Baśka zjadała swoje już przy stole, ja symulowałam przejedzenie.

– Wezmę sobie do pokoju, zjem przed snem... Jasne, to nie ja je tam pałaszowałam. Spisywałyśmy na papierku. Strasznie długo trwa takie liczenie stu pożartych ciastek, zwłaszcza że nie zawsze udawało mi się utrzymać należną pokorę...

– Widziałam, zjadłaś całą babeczkę, zanim mi oddałaś ciastka! Tego ci nie wolno! – syczała Baśka. – Przecież nie było powiedziane, że nie wolno mi tknąć! Mam ci dać sto, ale od czasu do czasu mogę chyba jedno zjeść, nie? Znowu kręcisz! – krzyczałam w poczuciu winy połączonym z poczuciem niesprawiedliwości.

– Ach, tak? – Baśka była wyraźnie zadowolona. – Powiedzmy, że możesz, ale miałaś się nie kłócić, a jak inaczej nazwać ten twój dziki wrzask? Dobra, skreślamy wszystko i zaczynamy od początku!

Nie miałam wyboru. Tak bardzo chciałam wejść do cudownego królestwa, najęść się wreszcie ciastek do syta i zobaczyć moją piękną – pod maską i peruką – siostrę...

Z trudem doszłam do osiemdziesięciu pięciu. Jeszcze tylko piętnaście, może tylko parę dni i mój cel będzie osiągnięty!

– Jaki cel? Aaa, moja kraina. Dobrze, ale co ty sobie właściwie wyobrażasz? Jak ja cię taką brzydka tam wprowadzę? Chuda, blada, że aż zielona, i przeźroczysta, z tą beznadziejną twarzą... I tak dobrze, że masz teraz nos! Brzydki, szeroki – na pewno dłubiesz i będzie jeszcze szerszy – ale jak się urodziłaś, nosa w ogóle nie było! Miałaś same dwie olbrzymie dziury na środku twarzy, bez nosa!

Zalałam się łzami.

– Kłamiesz! Zawsze kłamiesz! Nienawidzę cię, nie mogę na ciebie patrzeć! Musiałam mieć przynajmniej załazek nosa!

– A, bardzo dobrze. Kłóć się, kłóć. Trudno, zaczynamy od nowa. I skreśliła osiemdziesiąt pięć ciastek...

Zaczęłam podejrzewać, że nigdy nie uda mi się wejść do cudownej krainy. Może lepiej jednak nie liczyć na bezkarne obżarstwo w tajemniczym królestwie, tylko jeść te ciastka, które tata teraz codziennie nam przynosił? Ale kwestia cudownej piękności mojej siostry-królowy nie dawała mi spać. Któregoś wieczoru, leżąc w swoim łóżeczku z siatką naprzeciw łóżka Baśki, myślałam, jak odkryć całą jej urodę? Wpadłam na genialny, jak mi się zdawało, pomysł. Postanowiłam ją przeczekać. Szczypałam się, żeby nie zasnąć, unosiłam na łokciach, żeby być w jak najbardziej



*Mama trzyma czule  
siostrę za rączkę  
- nie dziwnego, mnie  
jeszcze nie ma  
na świecie.*



niewygodnej pozycji. Udało się! Po pewnym czasie usłyszałam równy oddech, zobaczyłam siostrę głęboko uśpioną. Cichutko jak myszka przelazłam przez podniesioną siateczkę, na palcach podeszłam do dużego łóżka siostry, ostrożnie zbliżyłam rozczapierzone paluszki do jej głowy i – z całej siły pociągnęłam ją za włosy, żeby zerwać perukę i ujrzeć te złote, przepiękne, długie do pasa pukle.

Na straszny wrzask Baśki wpadli rodzice. Ojciec przez drzwi z prawej, w szlafroku w paski, zastygł jak oniemiały i nie mógł długo zrozumieć, co się stało.

Mama, jak zawsze szybsza, stała już w drugich, lewych drzwiach. Jej koszula nocna była pognieciona i za krótka, za to kapcie – chyba ojca – za duże. W ręku, na wsiakij słuczaj, jak mówiła, trzymała skręconą ścierkę.

– Czekaj, Broniu, nie wolno bić dzieci, tyle razy cię prosiłem, niech wytłumaczają, co się stało! Krzysia nie w łóžeczku, a Basia płacze? Co, maleńkie?

– Ja sobie grzecznie spałam, a Krzyśka przylazła i mnie raptem z całej siły tak pociągnęła za włosy, że aż spadłam z łóżka! – przez łyzy krzyczała Baśka.

– Zaraz, Kryska, a ty powiedz, jak to było? – zwrócił się do mnie ojciec, będąc pewny innej wersji wydarzeń.

– No... Ona spała, a ja wyszłam z łóžeczka i ją pociągnęłam, ale chyba nie dość mocno... – odparłam, żałując, że nie udało mi się ściągnąć peruki.

Na tym porzeczano. Rodzice nigdy nie rozumieją dzieci...

Sprawa cudownej słodkiej krainy ciągnęła się chyba przez kilka lat. W tym czasie wyrosłam, trochę zmądrzałam, zdawałam sobie teraz sprawę, że żadnej krainy za obrazem być nie może, że wszystko to jest bujda. Ale – kontynuowałam sprawę, chciałam zobaczyć minę siostry i wysłuchać jej tłumaczeń w dniu, kiedy dam jej ostatnie, setne ciastko i zażądam wyjaśnień... Ale – może dlatego teraz nie mam skłonności do tycia. A ona waży osiem kilo więcej!



**Tata,**

**Mama,**

moja siostra

**i ja**

Ojca rzadko widywałam. Nie potrafię opowiedzieć, kiedy we Lwowie byli ruskie, kiedy Niemcy, kiedy go nie było, bo ukrywał się w piwnicy, a kiedy po prostu pracował. Pracował najczęściej z grupą matematyków lwowskich, między innymi Orliczem, Schauderem i Banachem, w Kawiarni Szkockiej. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że była



*A tu tata, moja  
siostra, ja i pies.*





*Tata wręcza żywą gęś szwedzkiemu matematykowi, który po czterdziestu latach rozwiązał postawiony przez niego problem. Taka to była gegająca nagroda.*

to lwowska szkoła matematyczna ani że Kawiarnia Szkocka wraz z założoną tam Księżą Szkołą, której pilnował szatniarz, przejdą do historii światowej matematyki... Troszkę młodszy od taty Karol Borsuk też długo spotykał się z ojcem, i we Lwowie, i po latach w Warszawie, gdzie razem z Baśką bawiliśmy się z jego córkami. We Lwowie i w Łodzi często bywał u ojca Marceli Stark. Przynosił mi książki – do dziś pamiętam otrzymane od niego *Życie pszczół* i inne książki o zwierzętach...

W owej Księżce Szkołkiej uczestnicy codziennych spotkań wpisywali problemy matematyczne swojego autorstwa. Oferowali też nagrody za ich rozwiązanie. Im problem był trudniejszy, tym wyższa proponowana nagroda dla tego, kto go rozwiąże bądź udowodni, że jest nierozwiązywalny. Mogły to być dwie kawy, jedno duże piwo albo trzy ciastka z kremem. Mój tatuś, który zawsze szukał trudności, postawił problem tak skomplikowany, że ufundował nagrodę w postaci... żywej gęsi.

Wiecie? Okazało się, że problem jest nie do rozwiązania. Udowodnił to pewien młody matematyk szwedzki dopiero po czterdziestu latach! Przyjechał do Warszawy, pokazano go nawet w telewizji, tyle że... nie mógł przyjąć gęsi, którą tata ofiarował mu żywą i gęgającą, zgodnie z planem, w ślicznym koszyczku z falbankami w kwiatki. Nie mógł, bo do Szwecji nie wolno wwozić żadnych zwierząt! Tata wyprawił wielką kolację w Bristolu, zaprosił kwiat matematyków warszawskich i pożarli chyba nie tylko tę jedną gąskę...

Ale tego wszystkiego nie było jeszcze wiadomo w tamtych czasach. Zwłaszcza nie miała o tym pojęcia mama, której absolutnie nie podobało się wieczne ślęczenie ojca przy biurku, a jeszcze mniej wycieczki do kawiarni.

– Mój to całymi dniami po kawiarniach siedzi, dzieci brudne, włóczę się samopas, ja wszystkiego robić nie nadążam, a on kawkę sobie pije jedną za drugą! – narzekała.

Często, zdesperowana, wpadała nagle do Szkołkiej – na szczęście koledzy siedzący przy oknie warowali i ostrzegali ojca:

– Staszek, włącz pod ładę, twoja żona leci!

Tata chował się u szatniarza, który przysięgał, że nie, że pana Mazura tu dziś nie było, i przeczekiwał, póki mama nie zrezygnowała z poszukiwań. A ja – już wtedy uwielbiałam zmiany. Zmiany potraw, zmiany zajęć, zmiany miejsca pobytu...

Na zmiany mieszkań nie mogłam narzekać. Mieszkałam w jednym pokoiku z siostrą, której – trudno się dziwić – nie było to na rękę. Ja też wolałam mieć własny kącik! Ojciec obiecał mi, że już niedługo się przeprowadzimy, że będę miała oddzielny pokoik. Czekalam niecierpliwie. W końcu rzeczywiście zmieniliśmy mieszkanie. Z placu Jura przeprowadziliśmy się na Obertyńską, i co? Znowu jakoś tak wyszło, że byliśmy razem. W dodatku na oszklonej werandzie, więc zastanawiałam się, jak to będzie w zimie, czy na niej nie zamrozimy.

# Krystyna Mazurówna

Krystyna Mazurówna – legenda polskiego tańca, gwiazda swingujących lat sześćdziesiątych. Solistka Teatru Wielkiego i Operetki Warszawskiej, partnerka wybitnego tancerza i choreografa Witolda Grucy.


Od zawsze szokująca i ekscentryczna. Fenomenalne choreografie, które sama tworzyła, przyniosły jej sławę. Pokazała, jak można tańczyć jazz. Prezes telewizji Włodzimierz Sokorski mówił z wyrzutem: „Mamy takie piękne polskie tańce ludowe, dlaczego pani ich nie tańczy?”

W duecie z Gerardem Wilkiem podbiła serca Polaków. Serca paryżan – powoli i sama. U szczytu popularności, jesienią 1968 roku, zniknęła z ekranu, sceny i z Polski. W Paryżu założyła własny Ballet Mazurówna, tańczyła z Josephine Baker, była solistką Casino de Paris, ale też szatniarką, bileterką, kierownikiem budowy. Mężczyźni kochali się w niej na zabój, a ona ich – jak mówi – kochała naprawdę.

Jej życie to wielka przygoda.

Wciąż pracuje (tworzy choreografię do programu You Can Dance – Po prostu tańcz!), podróżuje, planuje. Wychowała troje dzieci. Nadal „tańczy, walczy, nie odpuszcza...”

*Burzliwe  
życie  
tancerki*

 marginesy

ISBN 978-83-928431-5-3



9 788392 843153

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)